

Lwów nad Prosną

„Lwów nie zna piękności omdlałych, orchideicznych, ślaniających się leliji, różowo pachnących, zawracających oczyma. Lwowianka ma oczy bystre, spojrzenie śmiałe, przemile zuchwałe; jest uśmiechnięta, w miarę pyskata, odważna i dzielna (...) Jest muzykalna, śpiewa nieuczenie, jak ptak. Oczywiście, trafi się też czasem cholera, ale nigdy z rodziny odwiecznie tu zasiedziałej” — pisał 62 lata temu Kornel Makuszyński, fetując zwycięstwo Zofii Batyckiej w konkursie Miss Polonia. Panie grające w najnowszym przedstawieniu kaliskiego teatru opinii tej być może nie znają, lecz sprawiają wrażenie, że przybyły nad Prosnę prosto z Pełtwi. Agnieszka Dzięcielska, Mirosława Sapa i Monika Szalaty są właśnie takie, jakimi widział lwowianki mistrz Kornel: „zdrowe to, mocne, zamaszyste, nieustępliwe, zgrabne, wiotkie a bujne. Strach pomyśleć, co się stać może, kiedy taka jakiemuś kretynowatemu chudzinie w pysk dać raczy!”.

Panowie mieli zadanie także niełatwe. Choć mogli poznać postaci lwowskich batiarów z „pierwszej ręki”, z filmowych kreacji Szczepcia i Tońcia, musieli zarazem zmierzyć się z ich legendą. Z próby tej Jacek Jackowicz i Dariusz Lemieszek wyszli obronną ręką. W scenicznym remake’u *Wesołej Lwowskiej Fali* rozbawili publiczność do łez. Sztuka ta udała się również Zbigniewowi Lesieniowi i Ignacemu Lewandowskiemu. Szmoncesowe dialogi Unterbauma i Aprikosenkranza wykonali w stylu, którego nie powstydziliby się Lopek Krukowski.

Wesoła Lwowska Fala wyznaczała jednak rytm drugiej części przedstawienia. Część pierwsza była emocjonalnie rozchwiana. Nuta akademijno-martyrologiczna mieszała się z wodewilem; śmiech z łzą. Tempo przedstawienia rozbijała ponadto narracja, chyba jednak niezbędna i jako spoiwo zastępujące fabułę, i jako komentarz historyczno-gawędziarski, bez którego powojennym rocznikom trudno jest zrozumieć, czym był Lwów dla II Rzeczypospolitej.

„Tylko we Lwowie” oglądałem nie na premierze, lecz na przedstawieniu wtorkowym (13.X), którego widownia była wiekowo spolaryzowana. Sporą jej część stanowili emeryci z pleszewskiego „Famotu”; na drugim zaś biegunie plasowała się młodzież szkolna. Reakcja obu grup była równie żywa i spontaniczna, co dobrze świadczy o tworzywie — scenariuszu autorstwa Wojciecha Dziędużyckiego.

Śpiewogrę reżyserowała Halina Dziędużycka, mająca wraz z mężem wieloletni staż kabaretowy („Dymek z Papierosa”). Oboje wiedzą jak dobrać piosenki i skecze, żeby w konkretnym miejscu rozruszały publiczność i sprawiły frajdę aktorom.

Premiera na Małej Scenie jest również kolejnym dowodem na to, że dyr. Zbigniew Lesień znalazł sposób na zapełnienie widowni, zdołał też skompletować taki zespół, który potrafi nie tylko „podawać tekst”, ale również ruszać się, śpiewać i tańczyć.

Wieczór z piosenką lwowską ma jeszcze jednego bohatera. Przez bite dwie godziny aktorom akompaniuje Fryderyk Stankiewicz. Zdarzało się już nie raz, że pianino zastępowało orkiestrę, ale chyba po raz pierwszy wykonawca sprawił, że nie było to odczuwane jako substytut. A zatem — spotkajmy się „we Lwowie”.

Krzysztof PIERZCHLEWSKI

Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Wojciech Dziędużycki — „Tylko we Lwowie”. Premiera: 10 października 1992 r.